



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Fig. 14 Radyolarya (silnie powiększona).

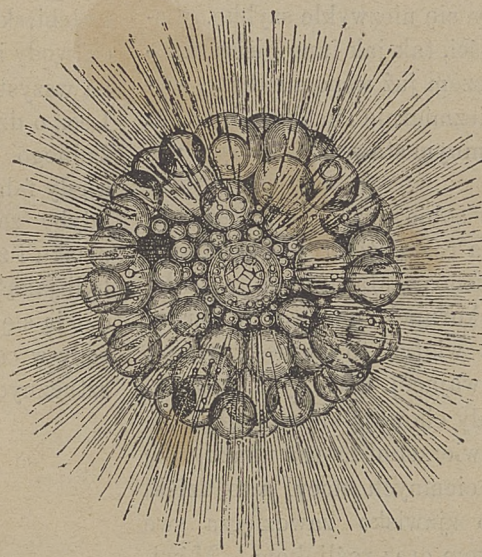


Fig. 16. Thalassicola świecąca (silnie powiększona)

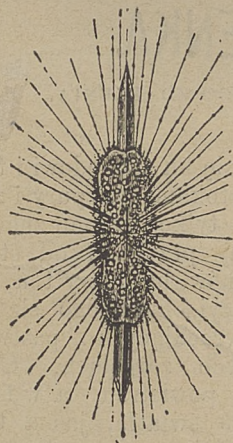


Fig. 15. Radyolarya (silnie powiększona).



Fig. 17. Świetliczki wydające światło w wodzie (silnie powiększone).



Fig. 18. Świetliczek (80 razy powiększony).



Fig. 19. Pycocystis świecący w morzach międzyzwrotnikowych 100 razy powiększony).

ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską

(Dalszy ciąg).

Otwornice żyją w znacznej ilości nawet u samego brzegu, a także w zacisznych zatokach, gdzie niewielki ruch fal

nie niszczy delikatnych muszelek. Z tego powodu muł znajdujący się u ujścia rzek nader obfity bywa w skorupki otwornic; naprzykład, częste zamulanie się ujścia rzeki Elby, pochodzi w znacznej części od skorupki drobnych zwierzątek i roślinek. A w porcie Aleksandryi muszelki otwornic wytworzyły warstwę mułu, mającą 12 metrów grubości.

Jednakże ilość otwornic żyjących u wybrzeży nie da się porównać z niesłychaną obfitością pierwotniaków pływających zdaleka od wybrzeży, na pełnym morzu. Pływają tam

masami nie tylko otwornice, ale inne jeszcze maluczkie, istotki nierównie piękniejsze — są to *radylarye*. Mają one skorupkę kryształową nad wyraz piękną i delikatną, składającą się z iglic i igiełek, złożonych promienisto w postaci gwiazdek, lub powplatanych w krzysztalowe koszyeczki, kuleczki, stożki i t. p. kształty skorupki (patrz fig. 14 i 15). Kto nie widział choć raz w życiu radylaryj, ten nie może wyobrazić sobie, jaka to rozmaitość i delikatność kształtów, a jeszcze trudniej pojąć zdoła, iż bezkształtna, żyjąca galareta mogła wytworzyć skorupki cieniuchne i regularne, jak wytworne koronki. Radylarye pływają zwykle na powierzchni morza zdala od wybrzeży, a po ich śmierci skorupki spadają na dno i wytwarzają z czasem pokłady krzemionkowe, wraz ze skorupkami okrzemków, o których wyżej była mowa.

Wreszcie pospolite są w morzu *wymoczki*, to jest maluczkie pierwotniaki, których pełno jest wszędzie i na lądach w wilgotnych miejscach. Wymoczki różnią się tem od otwornic i radylaryj, że skorupki nie posiadają, a ciała ich okryte jest błoną i rzęskami, któremi ciągle migają i tym sposobem pływają. Rozmnażają się niezwykle szybko, rozpadając się na dwie lub kilka części, tak jak inne pierwotniaki oraz jak najniższe roślinki, o czem już wspominaliśmy wyżej. Wymoczki są to żyjątka niezmiernie ruchliwe, a każda kropelka wody jest dla nich ogromnym stawem, w którym wesoło igrają i gonią jedne drugie.

W jasny dzień trudno zdać sobie sprawę, jak gęsto zaludniona jest powierzchnia morza rozmaitemi pierwotniakami, o których dotychczas mówiliśmy. Małość ich, a zwłaszcza przezroczystość ciał i skorupki ukrywa je przed naszym wzrokiem. Jeżeli niema wiatru, to morze przybiera niekiedy mleczną barwę od pływającej masy tych żyjątek, lecz przy najlżejszem ruchu wody chowają się one głęboko. Bogactwo życia rozlanego na powierzchni morza ukazuje się w całej pełni dopiero podczas ciemnych nocy, a to dzięki fosforescencji, bo wspaniałe to zjawisko zawdzięcza swe pochodzenie maluczkiemu zwierzątkom oraz roślinkom. Mówiliśmy już o świecących bakterjach, zaliczonych do roślin. Morze zawiera również świecące drobniauchne wodorosty, które pływają po powierzchni jak okrzemki. Ale fosforescencja czyli *iskwienie się morza* pochodzi głównie od pierwotniaków i dlatego w tym miejscu pomówimy obszerniej o tem świetnym zjawisku.

Miedzy pierwotniakami niektóre tylko rodzaje obdarzone są zdolnością świecenia w ciemności, jak zapalki wyrabiane z fosforu. Przytem światło pierwotniaków staje się silniejszym gdy woda jest w ruchu, podobnie i zapalki potarte w palcach wydają blask mocniejszy. Poznano kilka rodzajów świecących radylaryj, a miedzy innemi *Thalassicola* wydaje mocne światło zielonej barwy, które to gaśnie, to się znowu rozpala, jak u świętojańskiego robaczka (fig. 16).

Liczne są inne jeszcze gatunki świecących pierwotniaków w rozmaitych morzach, lecz najznakomitszymi są tak zwane *świecliczki* (*N. stiluca Miliaris*) przedstawione na fig. 17 i 18. Są to żyjątka zbliżone do wymoczków, wielkości ziarnka prosa, przezroczyste jak woda, okryte błoną, zakończone biczykiem. Nie wypuszczają one niby nóżek, tak jak świecące radylarye, natomiast biczyk jest w ciągłym ruchu, sprawia nim wir i tak sprowadza do swego otworu gębowego okrzemki i wymoczki, któremi żywią się świecliczki. Świecliczki pływają zawsze na powierzchni morza, a niezliczone miliony tych ciałek tworzą na niej warstwy niekiedy

bardzo rozległe. W chwilach, gdy żyjątka te świecą, morze przybiera blask iście czarodziejski. Świecliczki są niezmiernie rozpowszechnione w rozmaitych morzach; znajdowano je w Europie, Azji, Ameryce i Australii, przeważnie około wybrzeży.

Wreszcie w strefie gorącej iskrzenie się morza pochodzi nie tylko od świecliczek, ale bardziej jeszcze od innych zwierzątek zwanych *Pyrocystis* okrągłych lub wydłużonych (patrz fig. 19).

Gdy cienie nocy skrywają ziemię, powierzchnia oceanu staje się jeszcze wspanialszą, niż przy świetle dziennem. Niekiedy całe morze płonie delikatnem światłem białem, zielonawem lub błękitnem, a po niem jak błyskawice przebiegają oświetlone grzbiety fal morskich, oraz prześlizgują się tu i owdzie ogniste kule meduz. Statki i łodzie płoną również ze wszech stron, pozostawiając za sobą głęboką, ognistą bruzdę. Jeżeli przyglądamy się morzu, stojąc na wybrzeżu, to widzimy, że zbliżka fala wydaje się jak roztopione srebro, przypuszczone mnóstwem drobnych iskerek białych, zielonych i niebieskich. Bez obawy zacerpnijmy dzbanem tej pływającej wody i rzućmy ją w powietrze, a ogniste bryzgi rozleć się na wszystkie strony, jak gdybyśmy rozleli palący się poncz. Lecz o dziwo, ręce nasze również płoną, nie czujemy jednak żadnego bólu. Świecące fale wciąż uderzają o wybrzeże, a gdy fala ucieknie, piasek morski iskrzy się i migoce, jak gdyby zawierał drobne brylanty. Zaczynamy biegać po piasku i zostawiamy za sobą płomienne ślady, jak gdybyśmy byli jakąś bajeczną istotą. Słowem podczas ciemnych nocy dzieją się na morzu niebawale cuda; jestto iluminacja przyrody w całej swej pełni, stokroć piękniejsza od wszelkich sztucznych ogni.

BIAŁA PANIENKA.

OPOWIADANIE Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

Słońce już zwolna pochylało się ku zachodowi i tylko ukośne jego promienie zalewały potokami purpury i złota uroczy wiejski krajobraz. Niekiedy tylko pomimo znacznej odległości, świeży wietrzyk wiosenny przynosił od strony miasta Kielc poważny odgłos dzwonów, lub ostry ton gwizdanki pociągu zdążającego do stacyi, łączącego się niewyraźnem echem z rykiem trzód wracających z pastwiska i świegotaniem ptasząt w cienistych zaroślach. Chłód wieczorny mile dawał się uczuć w powietrzu, a w miarę stopniowego przygasania słonecznego światła, jasna tarcza księżycza występowała coraz wyraźniej na pogodnem tle widnokręgu. Na drodze robiło się coraz puściej i tylko ścieżką wydeptaną wśród łąki zdala od gościńca szło dwóch podróżnych. Pierwszym z nich był młody wieśniak, drugim trzynastoletni chłopiec bardzo wdzięcznej postawy, w wyszarzanym szkolnym mundurku. Wieśniak zdawał się być znużony i rad jak najszybciej pozbyć się łomoczek z rzeczami towarzyszą, który był cały zatopiony w widoku otaczającej go pięknej przyrody. Jego wielkie czarne oczy błędziły bezustannie po lesistych pagórkach i przydrożnych zaroślach, stanowiących wstęp do jakiegoś gęściejszego lasu.

— Czy słyszysz — odezwał się nagle z zachwytem — jak precudnie odzywa się słowiczek z tamtej strony? O! jakżebym pragnął usłyszeć go cokolwiek bliżej! — dodał zwracając się z wyrazem prośby do swego towarzysza.

— Jezus! Marya! — zawołał tenże widocznie przestraszony — a toby mnie panicz ślicznie wykierował. Słyszczę ją już i sam zład on się odzywa. Toć to nic innego jak tylko dębowa góra przy starym klasztorze; a tu słonko zachodzi, a skoro zapadnie już tylko patrzeć, jak się tam zacznie błąkać biała dziewczica.

— To i cóż ztąd! — zaśmiał się wesoło chłopczyzna — kiedy jakaś tam młoda panienka w białej sukni, może się przechadzać swobodnie, to czemuż my mielibyśmy być gorszymi od niej? Ztamtąd nawet jak mi to sam przed chwilą mówiłeś, ma być troszkę bliżej do Niegościc.

— Ba! któż mówi, że i teraz nie bliżej? — zachnął się młody wieśniak — ale każdy co zna nasze strony, wołałby obejść bodaj o milę dalej aniżeli się spotkać z tą białą panienką, którejby lepiej panicz nie wspominał wcale w tem miejscu.

— A to dłaczego, czy ona ci co złego zrobiła?

— Chryste Panie! — wrzasnął wieśniak, żegnając się drżącą ręką. Nie, dzięki Bogu! bo nie widziałem jej nigdy w życiu.

— Więc ty chyba musisz wierzyć w jakieś strachy, których wcale niema na świecie, jak mi powiada mama i ksiądz Stanowski mój nauczyciel.

— Ksiądz, to jest duchowna osoba nigdy nie może zapewne powiedzieć nieprawdy — tłumaczył się chłopak; ale ja powiadam paniczowi, że gdyby on mieszkał w tych stronach, toby tak samo jak my wszyscy wiedział, że tu niedaleko ponad czarnem jeziorem, od niepamiętnych czasów, błąka się biała panienka, co pokutuje za grzechy i nie zaznała dotąd wiecznego spoczynku.

— O biedna! — westchnął ze współczuciem mały wędrowiec. Ale czemuż to ona mogła tak strasznie zawinąć, ażeby zasłużyć na tak długą pokutę?

— Niechno się panicz tylko prędzej pospieszy, żebyśmy odeszli dalej od dębowego zarośla i czarnego jeziora, to jeszcze zdąży opowiedzieć wszystko, tak jak u nas we wsi słyszałem, nim mrok ze wszystkim zapadnie. Bo po nocy, jakem Jacek Socha najtęższy zuch w Niegościcach, nie odważyłbym się za nie w świecie rozpowiadać o tem tu gdzieś blisko.

— Tęgi mi zuch, co się strachów boi, — zaśmiał się mały wędrowiec.

— A niby nie! oburzył się Jacek. A komuż to na odchodnem powiedziała mama panicza: „A pilnujże tam w drodze, kochanku, mojego Stasia.

— Dobra, kochana mateczka!

— A tak, dobra, kochana pani. Jak też to jej się nie chciało puszczać panicza i dopiero kiedyś jej powiedział że przy nim każdy może być bezpieczny, bo ja i najsiłniejszymu żrebcowi poradzę, a Grzmilasowi i Lotce to jak huknę z bata nad uchem, ile razy mnie pan pośle do nadleśnego to idą obok siebie jak dwie panienki, a nie zażarte psiska, tak się uspokoiła i puściła nas obu.

— A tak — poświadczył Staś. Doszliśmy obadwaj do stacy i dojechaliśmy do K. gdzie na nas miał czekać z bryczką ekonom z Niegościc.

— I byłby z pewnością czekał, gdybyśmy byli pojechali tym, jak go tam nazywają, śmielcugiem.

— Pośpiesznym pociągiem! — poprawił Staś.

— A tak, i temu się tak spieszyło, żeśmy nie mogli za nim wydażyć. Tfu! z temi maszynami. Panu Szczepańskiemu było pilno też do domu i bez nas odjechał, a my teraz musimy wędrować piechotą. Ale to jeszcze nie tak wielka bieda. Pogoda, do Niegościc niedaleko, i żeby nie ta...

— Biała panienka! — dokończył Staś — wszak to chciałeś powiedzieć Jacusiu. Ało obiecałeś mi przecie coś więcej o niej powiedzieć, teraz więc kiedy dębowe zarośla już tak daleko, możesz dotrzymać słowa, nie obawiając się żeby cię podsłuchiła.

Jacek przeżegnał się raz jeszcze i powolnym, niepowinnym głosem tak opowiadać zaczął:

— Będzie z jakie sto lat temu, a może i więcej, jak powiadają u nas starzy ludzie, kiedy o parę mil ztąd mieszkał

we wspaniałym zamku pewien bogaty kasztelań ze swoją żoną. Był to pan co się nazywa, ubierał się w najdroższe suknie, jadał i pijał tylko ze złotych naczyń, stąpał po tureckich kobiercach, a po lochach miał całe beczki dukatów i skrzynie najkosztowniejch kamieni. Sama pani wyglądała jak królowa, stroiła się w perły i brylanty, a suknie miała ze złocistej lamy, błyszczącej jak słońce. Ale cóż z tego, kiedy mimo te wszystkie bogactwa, błogosławieństwo Boskie uciekało od ich progów.

(d. c. n.)

Wystawa higieniczna w Warszawie.

Halla gimnastyczna.

Na wystawie higienicznej, której szkic ogólny podaliśmy w N-rze 26, znajduje się jeden dział, który nas szczególnie zajmować powinien, jest to dział gimnastyczny, przedstawiony na naszej rycinie. Gimnastyka jest to niby nauka, a przecie zabawa. Nazywamy ją nauką, bo jest pożyteczną i w wielu razach potrzeba do niej nauczyciela, a znów chodzić po drabinach, wywracać koziółki, utrzymywać równowagę na wązkim drążku i wykonywać t. p. sztuki, jest to dla zdrowych dzieci, zwłaszcza też wychowanych na wsi, najmilsza zabawa.

Wiejskich chłopców nikt podobnych rzeczy nie uczy, a przecie wdrapują się nieraz na najwyższe drzewa, ażeby urwać owoc lub wykręcić gniazdo. Przytem zdarzają się jednak częste wypadki nieszczęśliwe, właśnie więc ażeby tych wypadków uniknąć, a nabyć zręczności, uczymy się gimnastyki.

Potrzebna ona w wielu razach koniecznie do zdrowia. Jeżeli np. od złego trzymania się przy pisaniu, prawa łopatka okaże się wyższą, od lewej lub zajdzie jakakolwiek nieprawidłowość w rozwijającym się organizmie, stosownie użyta gimnastyka to wszystko wyrówna i doprowadzi do porządku. Dzieci zaś, które rozwijają się tak, jak rozwijać powinny, uczą się gimnastyki, bo ta dodaje zdrowia, rzeźkości i wtedy właśnie jest najzabawniejszą, bo nie trzeba się trzymać jednych ćwiczeń, które leczą zboczenia, ale należy wykonywać z kolei najrozmaitsze i coraz trudniejsze.

Wówczas dzieci mają sposobność okazać swoją śmiałość, zręczność, przytomność. Do jakiej zaś doskonałości dojść można w gimnastyce, widzimy w cyrkach. Zdaje się, patrząc na ludzi co wykonywują sztuki tak zwane akrobacyjne, że nie mają wcale kości, że pozbyli się swej ciężkości i bez skrzydeł fruwać po powietrzu, przerzucając się z jednego trapezu na drugi, dosiadają konia w biegu, a skoro tylko go się dotkną, są już z nim jakby zrośnięci, chodzą na najmniejszej linie, słowem robią takie zadziwiające rzeczy, iż trudno pojąć, że to może uczynić człowiek taki jak my jesteśmy.

Nie jest wcale zadaniem gimnastyki, wyrabiać linoskoków i sztukmistrzów, bo na to potrzeba poświęcić całe życie, przytem jest to los nad wszystko smutniejszy, bawić ludzi karkołomnymi sztukami. Dowodzą one jednak, jak bardzo można wyrobić zręczność członków, która często przydać się może a nawet nieraz od niej zależy bezpieczeństwo, życie tak nas samych jak bliźnich.

Czyście kiedy widzieli straż ogniową przy pożarze. Każdy strażak musi być wyrobionym gimnastykiem, dla tego to umieją oni wdrapywać się na niedostępne z pozoru miejsca, zakładają węże do sikawek, a w potrzebie ratować zaskoczonych pożarem, którzy w braku tej pomocy, zginęliby straszną śmiercią.

A w życiu potocznym jak miło jest nie bać się ani wysokiego płotu, ani wązkiej kładki, ani szerokiego rowu. Nie należy rzucać się na takie przeszkody na oślep, bo wówczas nie łatwiejszego jak upaść i zrobić sobie krzywdę, a w najlepszym

razie narazić się na śmieszność ale czynić to umiejętnie, wyrobiwszy sobie wprzód siły mięśni i zręczność odpowiednią.

Wszyscy zdrowi ludzie mają nogi i ręce, któremi umiają poruszać, ale jakaż różnica w umiejętności władania nimi, ażeby tej umiejętności nabyć potrzeba dobrego kierunku i wprawy. Więc też wystawa higieniczna, której celem jest zaznajomić jak najwięcej osób z rzeczami pożytecznymi dla zdrowia, urządziła halę gimnastyczną, w której w pewne dni i godziny, specjaliści nie tylko swoje przyrządy okazują, ale także odbywają lekcje wzorowe z kilkoma kompletami. Dzieci już wprawne, które przez pewien przeciąg czasu brały lekcje przedstawiają naoczne dowody, jak można się łatwo nauczyć wykonywać ćwiczenia, któreby bez systematycznej nauki wykonać było trudno.

Oprócz gimnastyki, którą wykładają na wystawie wła-

cznie tej prawdy swych małych wychowanców, będzie to bardzo ważny nabytek na przyszłość.

Dla tego to kompleta bawiących się dzieci czynią tak miłe wrażenie.

W. M.

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bronisławę Szawłowską.

ZAKOŃCZENIE.

Lat dziesięć upłynęło od czasu gdy pani Kuleszowa znalazła się wśród rodziny, cudem prawie ocalona od strasznej śmierci.



Ogólny widok hali gimnastycznej na Wystawie higienicznej w Warszawie.

ściciele zakładów, p. Helena Kuczalska lub jej zastępczyni i pan Stanisław Majewski, są na niej i zabawy zbiorowe dla dzieci, a odbywają się w wzorowych zakładach Frelbowskiich panien Kellerówien i Jahołkowskiej. Zabawy wyborowe, bo można naskakać się nabiegać z rówieśnikami a jeszcze w dodatku czegoś się nauczyć i nabyć zręczności.

To też jest to prawdziwa rozkosz spojrzeć na te grupy dziecięce, jak igrają swobodnie, wesołe a karne i przyuczone do zbiorowych zabaw. Bo żeby się takie zabawy udawały, każde z uczestników musi coś ze swoich zachceń i woli poświęcić na korzyść drugich, poddać się jakiejś regule, bez której zabawy być nie może.

Nie wszystkie też dzieci umiają się bawić. Jest wiele takich, które się zaraz sprzeczą, chcą żeby im wszyscy ustępowali i dają się, jeżeli tak nie jest. Takim dzieciom gdy wyrosną, źle będzie na świecie, bo życie opiera się na wzajemnych ustępstwach, a jeśli ogródki dziecięce nauczą prakty-

Lat dziesięć, długi to przeciąg czasu, a jednak w kółku naszych znajomych przeszedł on bardzo szybko, nie zaznaczając przejścia swego smutkiem i cierpieniem.

Wszyscy żyją, wszyscy zdrowi i szczęśliwi, bo szczęście noszą w sobie, w miłości i poważnem spełnianiu obowiązków swego posłannictwa na ziemi.

W tym samym pokoju, co przed laty dziesięciu, siedzi pani Kuleszowa na fotelu, przesuwając zwolną paciorki różańca.

Na wyniosłem jej czoło, przeciętem między brwiami głębokimi bruzdami, maluje się spokój, jaki ziemia nie zawsze dać może.

Duch jej wzniósł się wysoko, widocznie przebywa w tej chwili w nieznanym gdzieś krainach, bo na ustach ma uśmiech szczęścia, a wzrok zda się obejmować jakieś drogie, ukochane istoty.

Jest samą w pokoju, mrok już zapadł, na dworze wiatr dmucha i sypie na szyby tumany śniegu, ale ona tego nie widzi, bo duch jej przebywa gdzieś w krainach słonecznych, wśród ciepła i jasności, wśród szczęścia, niewypowiedzianego usty ludzkiemi.

Gwar jakiś w przyległym pokoju zbudził ją z tego zamyslenia, ale nie spędził ani uśmiechu z ust przybladłych, ani spokoju jaki miała na twarzy.

Obejrzała się na drzwi jakby spodziewała się ujrzeć kogoś miłego, wesołe śmiechy doleciały jej uszu i szepnęła do siebie:

— To one wracają z przechadzki.

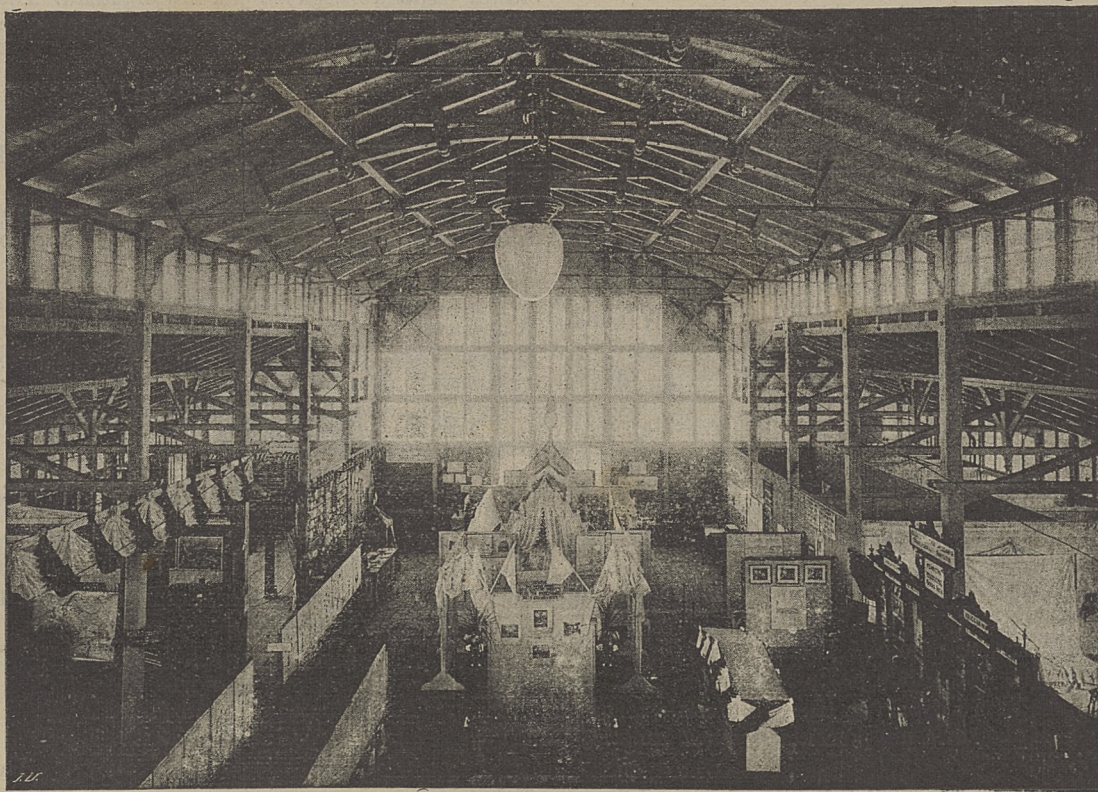
— Dobrze,* kochanie — odpowiedziała — chociaż z waszem wejściem, zrobiło się jasno, jak wśród dnia białego.

— Co? — zawołała Ada — ciocia umie tak pięknie prawić grzeczności? ależ to to samo, co powiedzieć, że weszło do pokoju słońce, zajaśniały gwiazdy, zabłysła jutrzienka na ciemnym tle nieba.

— Adzie nie trzeba wiele, aby snuła całe poematy, ody i sonety — rzekła Wańdzia z uśmiechem.

Służąca wniosła światło, nie była to jednak znajoma nam Antosia, która od lat kilku wyszła za mąż, i tylko czasem przychodziła odwiedzić swoją ukochaną panienkę.

— Otóż to lubię — rzekła Ada — jasno w całym po-



Sala gimnastyczna na Wystawie higienicznej w Warszawie.

W chwilę wbiegły prawie do pokoju dwie panny, zarumienione wiatrem i zimnem, wesołe, śmiejące się, jak uosobienie szczęścia.

Przez otwarte drzwi, smugi światła spłynęły z przyległego pokoju.

— Jakto! ciocia tak siedzi w półcieniu? — zapytała Wańdzia zdziwiona,

— To smutno ciociu — dodał głos drugi, po którym poznajemy Adę — to bardzo smutno, ja lubię zawsze jasność lub zupełną ciemność, rzeczy niewyraźnych znosić nie mogę.

Obie poskoczyły z pocałunkami do siedzącej, ukochanej przez nie kobiety.

— Każę podać lampę, dobrze ciociu? — zapytała Wańdzia,

koku, nie potrzebuję się domyslać, co z którego kąta ukaże się niespodzianie mym oczom.

— Straszek na słomianych nogach — odezwał się za nią głos męzki, a Ada obejrzawszy się spiesźnie, rzekła z udanym przestrawem:

— Alboż nie ujrzałam stracha? Władek... to jest pan Władysław, posiada tę specjalność, że się zawsze zjawia nie w porę.

A zwracając się do pani Kuleszowej dodała z minką zakłopotaną:

— Moja ciociu, kiedy ja się oduczę mówić temu młodzieńcowi po imieniu?

— Możesz pani nie zadawać sobie tej pracy — odrzekł

wesoło — owszem, „Władek” zawsze mile brzmi w mych uszach.

— Czy to przez zamięłowanie lat dziecinnych? — zapytała.

— Oho! — zawołała Wańdzia — już teraz z pewnością się pogniewają, od słowa do słowa przyjdzie do sprzeczki, a dla mnie potem kłopot, aby ich godzić.

Wejście kilku osób przerwało rozmowę młodych, zrobiło się gwarno i wesoło.

Znaleźli się wszyscy, wszyscy ci, których widzieliśmy przed laty dziesięciu, bo mimo niepogody przyszedli i państwo Boruntowie z młodszą córką, ładną blondynką, i synem, przybyłym na święta Bożego Narodzenia, a będącym na trzecim kursie prawa.

Rozmowa przeskakiwała z przedmiotu na przedmiot, przerywana to śmiechem, to sprzeczką, zwyczajnie jak między młodymi, będącymi w stosunkach przyjaznej zażyłości, którzy się znali od dzieciństwa.

I Wańdzia i Ada wyrosły na ładne panny, a co więcej jeszcze znaczy, wyrosły na kobiety rozumne, nie na lalki salonowe.

Ada, która miała zdolność do rysunków, a jeszcze większą do tworzenia fantazyjnych obrazów, maluje na porcelanie, na skórce i aksamicie, i znaczne ma z tego dochody.

Wańdzia nie oddaje się pracy zarobkowej, ale zajmuje się całym domem, obszywa go, wyręcza we wszystkim matkę, a cały dzień tak ma zajęty, że często skarży się, że jej czasu brakuje.

Władek jest na uniwersytecie, na wydziale technicznym, utrzymuje bowiem z całą powagą, że się już urodził dyrektorem fabryki, miał to od początku wypisane na czole.

Adę tytułują często panią dyktorową, sam Władek tak ją zwykle nazywa, kiedy go bierze chętką posprzeczkać się z nią, gdyż naturalnie wynikają z tego gniewy, dąsy, łatwo jednak poznać, że to są rzeczy udane.

Czy przyszedł prawnik nie myśli o pannie Brzeskiej, niewiadomo, są oni z sobą zawsze serdecznie, ale poważnie, nie sprzeczkają się i nie kłócą, ale często długie prowadzą rozmowy, którym pani Kuleszowa przysłuchuje się z uwagą, gdyż rozbiegane przez młodych kwestye, zdają się być dla niej czemś nowem zupełnie.

Babunia pisuje często listy, jest zdrowa, choć na siłach znacznie podupadła.

Nie można milczeniem pominąć Biedusia, żyje jeszcze pocziwa psina, choć już bardzo się postarzał.

Utył, stał się ciężkim i ospałym, chrapie niemiłosiernie, ale mimo tego pani Kuleszowa nie pozwala wynieść go z kątka za komodą.

Na głos Wańdzi zawsze przybiega z równą radością, choć już nie z dawnym pospiechem. Antosi zawsze się ucieszy, gdy przyjdzie. Pies wdzięcznością swoją, zawstydzona nieraz, niestety! człowieka.

Marcinowie tylko oboje już nie żyją, cichą i spokojną była śmierć staruszki, jak cichem i uczciwem było jej życie.

Dom cały kupił pan Brzeski, a z facyatki, na prośbę Wańdzi, zrobiono porządną, wygodną sypialnię, choć maleńką, ale ciepłą; przeznaczony on jest na bezpłatne mieszkanie dla osoby samotnej i ubogiej.

Obecnie zajmuje go wdowa po urzędniku, do której Wańdzia chodzi często, a choć o tem nie mówi wcale, widują jednak nieraz, że tam nosi jakieś paczki w fartuszkach, talerze, lub kubki z herbatą.

Kucharka opowiadała z wielkiem zdziwieniem, że widziała na własne oczy, jak paniątka niosła na poddasze, całe naręcze drzewa.

— Chociaż to ciemno już było — mówiła z przejęciem — ale jak mi Bóg miły widziałam, niosła samiotka, już to u naszej paniątki złote serce. Ona i biednego nakarni, i ptakom okruszyn wyrzuci, a już na głód i nędzę, suchem okiem patrzeć nie może.

Byłaby dłużej jeszcze opowiadała, gdyby jej ktoś nie był przeszkodził. Niewyczerpany to przedmiot do rozmowy, to złote serce paniątki.

Oby tych serc było u nas jak najwięcej.

WIELCY LUDZIE

KOMEDYJKA W I-NYM AKCIE.

(Dokończenie).

LORCIA (*zrywa się, i odtąd chodzi a Jerzy siedzi*). Ach! wiem już! Napiszmy coś!

JERZY. A wiesz, że to może i najłatwiej. A jaka stąd sława! Daleko większa jak z wynalazku! Toż popiersia Mickiewicza, Słowackiego, są w każdym domu, a gdzie Newton, Fulton... Watt... Franklin...

LORCIA. Aha! Ale to byli poeci!

JERZY. No, to piszmy wiersze!

LORCIA. Pyszny. Ale o czym? O... pracy. O... miłości bliźniego... O... poświęceniu...

JERZY. O! to bardzo trudne! Ot lepiej już jakiś opis, taki jak np. Pola: „Pieśń o ziemi”. Ot, spróbujmy napisać wiersze: O Warszawie!

LORCIA. Wybornie! ja już wiem! ...„Piękna rzecz jest Warszawa”... pisz, Jerzy! (*Jerzy pisze na kawałku papieru, Lorcja chodzi, zatrzymując się przy stole, gdy ma coś do powiedzenia*) „Na ulicach turkot — wrzawa!” To łatwo!

JERZY. Wrzawa... Już napisane. A dalej.. (*Długu przerwa, wreszcie Lorcja mówi*).

LORCIA. „Piękne gmachy i budynki... no! cóż dalej? Wymyśl co, Jerzy!

JERZY. Budynki... upominki... rynki... Nie, tak źle, trzeba zmazać (*maże*) lepiej tak: „Piękne drogi i ulice”

LORCIA. „I wspaniałe kamienice”. O! to łatwo! A potem... co... a potem: pisz Jerzy.

„Jest i teatr z kolumnami,
I kościoły są z wieżami
Jest i taki ogród duży,
Który... który... aha!
Który do spacerów służy”.

Ależ pomagaj mi Jerzy!

JERZY (*z niechęcią*). Ja tam nie umiem rymować. Mów sama dalej, ja co innego napiszę.

LORCIA (*myśli chwilę*). „A w kościołach są ołtarze” ołtarze... twarze... karze... nie! lepiej co innego...

„A lud modli się w kościołach” kościołach... siolach... No, co jeszcze się kończy na „łach”?

JERZY (*śmiejąc się*). Chyba: *kołach*! Ale wiesz, coś zaczynam wątpić, żeby nam za ten poemat wyprawiono jubileusz, albo odlano posągi. Dajmy temu pokój. Czy to koniecznie muszą być wiersze? Piszmy prozą.

LORCIA. Piszmy! Ale co?

JERZY. Ja myślę, że najlepiej coś poważnego. Ja lubię nauki przyrodnicze, i jestem w tem mocny. Napiszę artykuł — fizyczny!

LORCIA. To bardzo już trudne!

JERZY. Ej, nie! Ja tam wszystko rozumiem i umiem na pamięć. Przeszedłem już o ciepło, o głosie, o świetle... o magnetyzmie i elektryczności będę się uczył wkrótce.

LORCIA. Tak, ale co ty napiszesz?

JERZY. A no, mówiłem: o ciepło, o gło...

LORCIA. Dobrze, ależ to jest już w tej książce, to co ty umiesz; jak napiszesz to samo, to nie sztuka!

JERZY (*zafasowany*). Ach prawda! Ależ to trudna rzecz, to zdobycie sławy! Wolałbym już robić tłumaczenie! Wiesz! Mam sposób! Piszmy powieści! Powieść, to można napisać, wszystko co się chce.

LORCIA. Ależ tak! To tak łatwo! Tylko, kto ją wydrukuje?

JERZY (*z radością*). Wiem kto! Wujek Broniś ma kolegę w redakcyi jakiegoś pisma. Wujek dziś ma być u nas na kolacyi, damy mu rękopis, i jutro... no, pojutrze, wyjdzie w gazecie nasza powieść, pod tytułem... Wymyślimy jakiś ładny tytuł, a podpiszemy...

LORCIA. Jerzy i Lora B. Oboje! Toż się zdziwią rodzice, pan Karol!

JERZY. Gdy pan Karol będzie się gniewał za niezrobienie zadań, nic nie powiem. Aż jak wydrukują powieść, przyjdę, pokażę mu tak: (*Rozkłada arkusz papieru i niby go komuś pokazuje*) i powiem: „Czy pan jeszcze uważa, że czas tracił.

LORCIA. A on powie: „Jerzy, jestem dumny z mojego ucznia”!

JERZY. A o czym to będzie ta powieść?

HANIA (*odzywa się półgłosem z kąta*). I ja umiem pisać powieści.

LORCIA (*ze smutkiem*). Patrzajcie! ten dzieciak słucha! No! o czymże ty piszesz?

HANIA. Nie, kiedy dzieciak, to nie powiem.

LORCIA. Dla czego? Może jeszcze będziesz sławną?

HANIA. Na co mnie? Ja sobie tak piszę, dla siebie tylko.

LORCIA. Patrzcie, jaka skromność! Ale powiedz, powiedz moja droga! (*całuje ją*).

HANIA. Dobrze, powiem. Zaczyna się tak: Była sobie jedna pani, która miała troje dzieci. Jednego synka i dwie córeczki.

LORCIA (*ze śmiechem*). Ten synek nazywał się Jerzy, a córeczki: Lorcja i Hania.

HANIA. A ty skąd wiesz?

LORCIA. Domyślam się. Cóż dalej?

HANIA. Ta młodsza córeczka miała trzy lalki. Jedna duża...

LORCIA. Druga maleńka, a trzecia nie bardzo mała, i taka co biega i wachlarz podrzuca...

HANIA (*nadąsana*). Ty pewnie podsłuchiłaś, jak ja ją sobie powiedziałam!

LORCIA. Ależ upewniam cię, że nie. Cóż dalej?

JERZY (*ponuro*). Słuchaj, ty się bawisz, a czas upływa. Zadań niema, i dzieła żadnego niema, a z naszym rycerskim ślubem co będzie? Jakże na kolacyę pójdziemy? Z tą chustką? (*szarpie gniewnie za chustkę, zrywa ją i znów wiąże*).

LORCIA (*przerażona*). To prawda! A ja z włosami w nieładzie! A nie dotrzymać ślubu, też nie można. (*Słychać za sceną dzwonek. Jerzy zrywa się, i chodzą oboje po pokoju mijając się patrząc z rozpaczą na siebie*). To na kolacyę! Za pół godziny będzie drugi dzwonek! Boże!

LORCIA (*gorączkowo*). Prędko, piszmy powieść, o... Jeanne d'Arc.

JERZY (*stając przed nią*). Dużo o niej wiesz? To co w twojej książce, prawda?

LORCIA. Boże! A jeszcze nim te włosy rozplączę! (*Słychać inny dzwonek u drzwi wchodowych*). To wujek Broniś przychodzi! Żeby jeszcze nie przyspieszyli kolacyi. Wiesz, Jerzy! Jedyne ratunek! Powiedzmy wujkowi! On nam pomoże!

JERZY (*ponuro*). Innego ratunku nie widzę. Idź, poproś go!

LORCIA. Tak, z tą rozwianą strzechą? (*pokazuje na włosy*). Haniu, Hanieczko moja, idź, powiedz wujkowi, że Lorcja i Jerzy proszą, żeby do nich przyszedł! Nie, tak nie można...

JERZY (*gwałtownie*). Można, można! hiegnij! Niema chwili do stracenia! (*Hania patrzy na nich przez chwilę, potem wybiega. Za sceną słychać głos Hani: „Wujciu, wujciu, proszę prędko, prędko do Jerzego i Lorcji, bo bardzo pilno”! Jerzy i Lorcja chodzą wciąż po pokoju z rękami założonemi i pospuszczanemi głowami. wreszcie Jerzy potrąca etażerkę z książkami, która pada z hałasem, w tej chwili wbiega prawie wujcio, gwałtownie ciągnięty za rękę przez Hanię*).

SCENA V.

Ciż i Wujcio.

WUJASZEK. Ależ powoli... powoli... (*staje na środku sceny i patrzy zdziwiony*). Co się dzieje? Co się stało? Czyście się pobili? Lorcja rozczochrana, Jerzy z podwiązaną twarzą, pokój w nieładzie... Czego mnie Hania tak na gwałt wołała?

JERZY i LORCIA (*patrzą w lustro, wołają oboje „ach”! i zaczynają włosy poprawiać*).

WUJASZEK (*zbiera tymczasem książki*). No cóż? Co się stało, że wyglądacie jak... waryaci?... (*Lorcja i Jerzy stoją zmieszani*).

WUJASZEK (*serdecznie biorąc ich za ręce*). No, mówcież, czy mam wam w czym dopomódz? Mówcie dzieci! Wiecie, że zawsze chciałbym waszego dobra!

LORCIA. Bo to... chcieliśmy koniecznie...

JERZY. Bo nam się wyobrażało...

HANIA (*głośno wola jednym tchem*). Jacyż oni nudni! Ja powiem, Jerzy najprzód bawił się moją lalką, potem zegarkiem Lorcji, a potem chcieli powieść pisać, ale nie wiedzieli jak, i Jerzy chce płakać, bo nie zrobił zadania!

WUJASZEK (*zatykając uszy*). Aj, nie tak głośno! Nic a nic nie rozumiem.

JERZY. Więc ja powiem wujciowi. To nic złego, tylko, że się nam nie udało jedna rzecz.

WUJASZEK. No, to jeszcze nie nieszczęście. A cóż dalej? Co się nie udało?

JERZY. Chcieliśmy zrobić coś wielkiego... coś takiego, żeby się wślawić. I zrobiliśmy ślub...

WUJASZEK (*zdumiony*). Ślub!

JERZY. Ślub — taki, jak to dawniej rycerze robili, że dopóki się czemś nie wślawimy, to Lorcja nie zaplecie włosów, a ja nie zdejmę opaski z lewego oka...

WUJASZEK. No, no! to ciekawe! I cóż dalej...

JERZY. No i nic. Chcieliśmy zrobić jakąś maszynę — ale trudno — potem pisać wiersze, potem powieść albo artykuł przyrodniczy, i nie mogliśmy; mnie się zdaje, że to dla tego, że za mało było czasu do namysłu...

WUJASZEK (*kręcąc głową*). A mnie się zdaje, że za mało było na to oleju w głowach!

LORCIA. Niech i tak będzie, ale co my nieszczęśliwi teraz pocniemy! Musimy się wślawić, bo inaczej, co będzie z naszym ślubem... (*Słychać powtórnie dzwonek na kolacyę*). Boże! (*łamiąc ręce*). Wujciu najdroższy, czemu my się wślawimy!

WUJASZEK. Nie znam sposobu nabycia sławy dla tych, którzy na nią nie zasługują. Mogą oni tylko brać przykład z Herostrata, który chcąc się czemś odznaczyć, spalił arcydzieło budownictwa, świątynię Dyany w rodzinnem mieście Efezie i rozgłos swój życiem przypłacił.

JERZY. Wuj sobie żartuje a...a my prosimy o radę!

WUJASZEK (*poważnie*). Jeżeli chcecie rady na serio, to posłuchajcie mnie uważnie, a opóźnienie na kolacyę weźmę już na siebie. Otóż, co do ślubu który was tak dręczy, to jakżeż go składaliście?

LORCIA. A ot tak: powiedzieliśmy sobie, że póty nie zdejmie Jerzy chustki, a ja...

WUJASZEK. Już wiem. Jest to dzieciństwo. Rycerze, którzy składali śluby by się w męztwie lub cnocie umocnić,

nie mieli wspólnego z waszą zabawką w ślub, a ponieważ daliście sobie słowo niemożliwe do dotrzymania, więc nie zaprzatajcie sobie tem głowy, a uczcie się, a na drugi raz pamiętajcie, że z dawaniem słowa trzeba być ostrożnym i oględnym, jeżeli chcemy, by słowa nasze nie były uważane za dziecięcą paplaninę. (*Jerzy spuszcza głowę i zdejmuję chustkę, Lorcja bierze grzebień z komody i rozczesuje włosy, oboje są poważni i smutni*).

HANIA. O, patrzajcie! to go zęby nie bolą!

WUJASZEK. Ale teraz, powiedzieć wam muszę, że mnie ta wasza cała awantura zmartwiła. Sami przekonaliście się, że wynalazki i arcydzieła nie tworzą się tak łatwo; aby je tworzyć, trzeba mieć od Boga talent wrodzony, a własną pracą go wyrobić i wykształcić. Nie o to mi chodzi. Ale przykro mi, że w dziecinnych marzeniach waszych, nie szło wam ani o czyn dobry, ani o pożytek ludzki, tylko... o sławę—o nagrodę. Znałem małą dziewczynkę, odznaczającą się bardzo dobrem serduszkim. Kiedyś słyszałem, jak, bawiąc się z bratem, który mówił, że chciał być wojakiem, a ona powiedziała:

„A ja chciałabym dużo, dużo dzieci nauczyć, żywić i odziewać, i jak będę duża, to zbuduję taki wielki dom, i każdy co zechce, będzie sobie mieszkał i miał co jeść, i nie będzie musiał odejść w świat, jak ten biedny górą, co to przychodził po jałmużnę.

Były to marzenia dziecinne, ale, dobre i szlachetne. A wasze... czy też są dobre i szlachetne...

JERZY (*podnosząc głowę*). Nasze były... były zarozumiałością i pychą! Rozumiem teraz. Człowiek powinien mieć na celu czyn dobry, przynoszący bliźnim naukę, pomoc i pożytek, a nie myśleć o nagrodzie.

HANIA (*do siebie*). I ja rozumiem. Gdy dostanę bardzo dobrą cenzurkę, to nie pójdę z nią do cici ani do babci, bo mi nie chodzi ani o pochwałę, ani o cukierki, tylko o dobry czyn, o moją naukę.

WUJASZEK (*śmiejąc się*). Wybornie! Wierzę, że Jerzy i Hania zrozumieli i nawet nie żałują całej tej awantury, bo was naprowadziła na myśl dobrą. A ty, Lorcju, co myślisz?

LORCIA. Ja wujciu... myślałam w tej chwili... o tej pani, co wczoraj na jej pogrzebie było tyle ubogich i dzieci. Ojciec mówił mi, że ona mnóstwo, mnóstwo dobrego robiła... a kto o tem wiedział?

WUJASZEK. Nikt. O sławę jej nie chodziło. No cóż, jeszcze marzycie o sławie?... i to przed ukończeniem nauk?

JERZY i LORCIA. Wujciu! wstydzimy się teraz, że byliśmy tak niemądrzy.

JERZY (*na stronie*). A moje zadania, moja geografia!

WUJASZEK. Ach, prawda! No, poradzę ci, przyznaj się panu Karolowi, a ja już wstawię się za tobą. A wiecie co? Możecie jednakże się wślawić!

JERZY. No, jak?

LORCIA. Ja bo już nie chcę!

WUJASZEK. Nie bój się. Nie zasądę cię do wynalazków, ale jeżeli pozwolicie, opiszę waszą przygodę w „Wieczorach Rodzinnych”.

JERZY. Piękna mi sława!

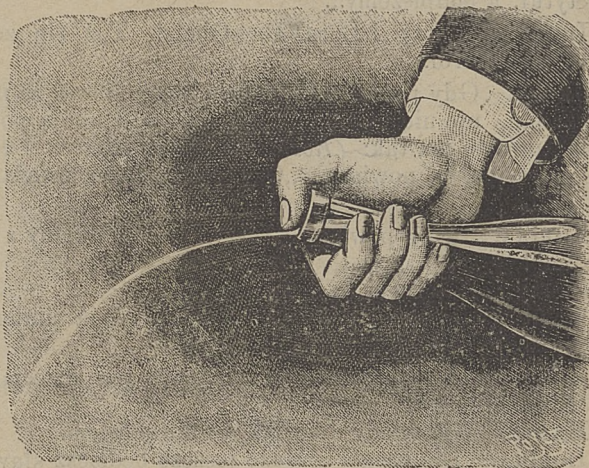
WUJASZEK. Na inną nie umieliście zasłużyć, to trudno! Ale przygoda wasza będzie przykładem dla drugich dzieci i uchroni je od podobnych zachcianek.

(*słychać głos za sceną: „kolacja podana, wszyscy czekają”*).

WUJASZEK. Więc chodźmy już... moi wielcy ludzie!

(*Zasłona zapada*).

M. W.



ŚCISLIWOŚĆ POWIETRZA.

Wszystkie ciała lotne dają się ścieśnić, to znaczy, że przy odpowiednim nacisku mniej mogą zajmować miejsca, naturalnie powietrze nie stanowi tu wyjątku. Oto jedno z licznych doświadczeń w tym kierunku.

Weźmy butelkę do połowy napełnioną wodą i trzymając jej szyjkę w prawej ręce, dmuchnijmy w jej otwór kilka razy całą siłą płuc naszych, poczem zręczn i szybko zatknijmy go palcem lub dłonią lewej ręki. Jeżeli teraz troszeczkę usuniemy palec, to wąską tą szparką, woda wytryśnie jak z fontanny dość długim strumieniem.

Zabawka ta cała polega właśnie na ścisliwości powietrza, którego przez nadmuchiwanie napędziliśmy do butelki w ilości większej niżli zwyczajnie bywa. Powietrze to zgęszcza się, lecz równocześnie wywiera zwiększone ciśnienie na wodę, która też gwałtownie wytryskuje, skoro tylko zrobimy jej otwór, i póty uchodzić będzie, póki zawarte w butelce powietrze nie będzie miało dość miejsca, by mogło wrócić do zwyczajnego stanu gęstości.

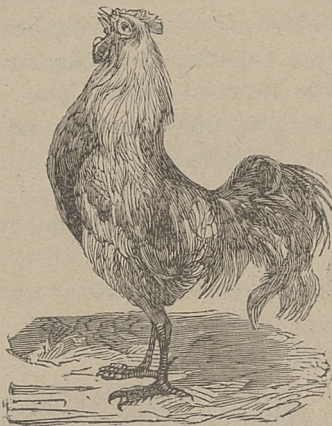
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Życie w oceanie przez dr. M. Stefanowską (z drzew.) — Biała panienka. Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Wystawa higieniczna w Warszawie (z drzew.) — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Wielcy ludzie, komedya w I-nym akcie. — Ścisliwość powietrza (z drzew.) — Dodatek: Kogucik, wiersz przez E. L. — Kryształek soli przez A. R. — Dobry uczynek przez H. G.—t. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówki, rozwiązania. Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE



KOGUT

Już nocy dawno ustąpił cień,
Kogut swem pianiem powitał dzień.
I jako wierny porządku stróż,
Głosi, że wstawać potrzeba już.

„Hej kukuryku! na cały dom;
Dłużej spoczywać to istny srom.
Jam już rozpoczął dziś pracę mą,
Wszystkie me pióra z zapalu drżą.

Kto rano wstaje, temu da Bóg
Siłę i krzepkość wśród życia dróg
I prac mu hojny pomnoży plon,
Bo gnuśnych śpiochów nie lubi On”.

Piej sobie dzielny kogutku! piej,
Rankiem mnie zawsze obudzić chciej,
Wolę być w pracy krzepki i zdrow,
Niż tracić chwile wśród marnych snów.

E. L.

KRYSZTAŁEK SOLI.

Jestem małym, ostrym w smaku kryształkiem soli,
dzieci się krzywią, gdy im się na język dostanę. Jestem
przykrą jak nagana, ale i użyteczną jak ona.

Dużo przeszłam zanim się dostałam do tej przezro-
czystej solniczki, która stoi na stole i błyszczy na słońcu.

Rozpuszczona w wodach wielkiego oceanu, długo
podróżowałam z fali na falę, aż pewnego dnia morze, za-
lewając brzeg w chwilach przypływu, rzuciło mnie do sa-
dzawki, którą umyślnie zbudowali ludzie, a odpływając
zostawiło mnie tam. Potem słońce wypilo wodę z sa-
dzawki, ja zostałam na dnie. Przyszli robotnicy, wydobyli
mnie i zaczęli oczyszczać na różne sposoby, aby od-
dzielić od piasku i innych obcych ciał. Nareszcie widzi-
cie mnie białą, suchą, smaczną.

Wydobywają mnie nie tylko z morza, kryję się także
we wnętrzu ziemi. Aby mnie stamtąd wydobyć, górnicy
kopią w ziemi głębokie korytarze o ścianach błyszczących
jak kryształ, znajdują mnie w ogromnych bryłach, twar-
dych jak kamień. Bryły te kruszą, tłuką i przywożą
pod nazwą soli kamiennej, aby napełniać kuchenne sol-
nice.

Nie pogardzajcie małym kryształkiem soli, jest on
użyteczniejszy, niż wam się wydaje, nie moglibyście się
obejść bez niego. Sól pobudza apetyt, ułatwia trawienie,
utrzymuje was w dobrym zdrowiu. Chcecie urosnąć, na-
brać sił, musicie spożywać sól.

Zwierzęta nawet wiedzą o tem, lubią pokarmy solo-
ne, czasami można widzieć, jak liżą kamienie na których
osiadła trochę innego rodzaju sól zwana saletrą. Krew
i mięskuly potrzebują soli. Gdy w miastach np. oblega-
nych przez nieprzyjaciela, zabraknie soli, to prawie tak
samo jak gdyby zabrakło chleba.

Przy użyciu soli człowiek może przechować dłuż-
szy czas ryby i mięso, zachowuje tym sposobem pożywie-
nie na czas głodu.

Młodzi amatorowie cukierków i słodocy, prędzej
obeszlibyście się bez nich, aniżeli bezemnie, której war-
tość poznalibyście wtenczas dopiero, gdyby mnie za-
brakło.

A. R.

DOBRY UCZYNEK.



taś, dziesięcioletni pierwszo-
klasista, był dumnym z tego,
że bawili się z nim razem
uczniowie drugiej kla-
sy, którzy umieli już pisać
łacińskie tłumaczenia i znali
ułamki! Prawda, że Staś nie
był już „wstępniakiem”, ale
zawsze tamci starsi, mą-
drzejsi

Było ich trzech, więc bie-
gali po lesie, po ogrodzie, ką-
pali się i gonili, wymyślali najrozmaitsze zabawy. I oto
raz przyszło im na myśl urządzić obok rzeczki sadzawkę,
nałowić małych rybek i wpuścić do niej.

Cudowna myśl!

W dwie godziny później było już wgłębienie na ło-
kieć szerokie, na dwa łokcie długie. Należało jeszcze
wyłożyć je kamieniami, aby woda nałana nie wsiąkła
w ziemię.

— Wiecie — zaproponował jeden — sadzawkę wybrukujemy jutro, a tymczasem chodźmy po ryby.

— Zgoda — zawołali inni, i pędem puścili się przez ogród do domu po koszyk i dzbanek.

Kosz zanurzali w wodzie rzeki i ciągnęli przeciw prądowi, a rybki, płynące z prądem, wpadały weń, jak do sieci.

Po godzinie w dzbanku, napełnionym po brzegi wodą, zwijało się około dwadzieścia małych rybek.

Zaczęto się naradzać, co zrobić z dzbankiem, ściemniało się już i trzeba było iść na herbatę.

— Zostawmy go w dole i przykryjmy trawą.

Propozycję przyjęto.

Przy wieczerzy Staś opowiadał mamie, ojcu i siostrzyczkom o nowym cudzie świata, jakim miała być „prawdziwa” sadzawka z żywymi rybami.

— A skąd weźmiecie ryb? — zapytał ojciec.

— Już mamy! — zawołał z dumą Staś — dwadzieścia rybek nałowiliśmy; pływają sobie tymczasem w dzbanku.

— A czy pomyślałeś, Stasiu — rzekł ojciec — że tym rybkom musi być bardzo smutno i niedobrze w ciasnym dzbanuszk, kiedy urodziły się w rzece?

— Umrą przez noc z gorąca — dorzuciła matka.

— Biedne rybki — westchnęła pięcioletnia Marynia.

I Stasiowi jakoś smutno się zrobiło. Żałował, że przed chwilą z takim zapałem opowiadał o swoich zdobyczach. Ale co tu poradzić? wypuścić? nie, na to nie zgodzą się towarzysze, wreszcie zaczęło się ściemniać zupełnie, a do rzeczki droga wiodła przez ogród. I coraz smutniej było Stasiowi. Słowa ojca, mamy, a szczególnie westchnienie młodszej siostrzyczki, poruszyły jego serce.

— Biedne rybki, jak im musi być ciasno, niewygodnie, smutno!

Herbata się skończyła.

— Czy mogę pójść na chwilę do ogrodu? — zapytał.

Ojciec, który przez cały czas wieczerzy patrzył na Stasia, uśmiechnął się nieznacznie i, nie pytając po co tam iść zamierza, zezwolił na tę, cokolwiek spóźnioną wycieczkę.

W ogrodzie było zupełnie ciemno. Staś drżąc nieznacznie, poszedł wolno kilka kroków, ale zaraz za parkanem, oddzielającym ogród od podwórza, puścił się pędem główną aleją.

Zdyszany dobiegł do sadzawki, odrzucił trawę, i wodę razem z rybkami wylał do rzeczki.

Teraz nie bał się już wcale. Nie było jeszcze tak ciemno, jak mu się zdawało, bo oko przyzwyczaja się do ciemności. Stał więc, patrząc, jak rybki rozpląnęły się w różne strony, tylko jedna leżała nieruchomo na dnie. Staś wyjął ją; nie żyła.

— Biedna — szepnęła, i łzy zakręciły mu się w oczach.

Po chwili włożył rybkę do wody, odwrócił się; znów strach go opanował, i zaczął biec w kierunku domu. Ale zaledwie przebiegł kilka kroków, gdy ujrzał idącego naprzeciw ojca.

— Dlaczego tak biegniesz? — zapytał ojciec.

— Bałem się — odrzekł zawstydzony — wczoraj stary Mikołaj opowiadał nam taką straszną bajkę o złych duchach.

— Złe duchy — odparł ojciec — to złe postęпки, więc jeśli nie chcesz spotkać ich na drodze swego życia, w postaci wyrzutów sumienia, postępuj zawsze tak, aby być z niem w zgodzie. — Uwolniłeś rybki? wszak po to wyszedłeś do ogrodu?

— Tak tatusiu, ale jedna już nie żyła..

— Widzisz, to ofiara waszej lekkomyślności. Pamiętaj, że nigdy nie należy bawić się istotami żywymi i słabszymi od siebie. Pies może się bronić zębami, kot pazurkami, krowa rogami, ale jaką ma obronę rybka, muszka, mrówka, motylek? Pamiętaj o tem zawsze. A teraz pomyśl, co powinienes jeszcze zrobić?

— Nie wiem, tatusiu.

— Pomyśl tylko.

— Przyznać się, że to ja zrobiłem, że ja wypuściłem rybki...

— Naturalnie — rzekł ojciec — musisz to uczynić koniecznie; inaczej twój dobry postępek, nie byłby tem czem być powinien.

Staś bał się gniewu towarzyszy. Ale jakże był zdziwiony, gdy wyznali mu, że i im żal było rybek, tylko nie zdobyli się na tyle odwagi, aby wieczorem iść do ciemnego ogrodu. Od tej pory uważali Stasia za zupełnie sobie równego, choć był o klasę niżej.

— Wiecie? możnaby z sadzawki zrobić fortecę.

— Dobrze, dobrze, jedni z nas będą Anglikami, a drudzy Indyanami — i wesoło puścili się wszyscy ku przyszej fortecy.

H. G—t.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Mógłby ktoś myśleć, że pani zna nas już dawno — rzekła Melcia, a w oczach jej błyszczała prawdziwa wdzięczność — rzadko u obcych znaleźć tyle dobroci.

— Gdy dzieci są same, opuszczone, trudno nie odczuwać dla nich litości. Mam nadzieję, że już niedaleką drogę macie przed sobą?

— Ja sama nie wiem...

— Jakiż nie wiesz! czyż bylibyście włóczęgami bez domu i nazwiska, i wyraz twarzy panny Hortensyi stał się surowszym. — Zresztą opowiecie wszystko przed panem i panią, gdy będą was zapytywać.

Melcia miała nieprzepartą chęć zwierzenia się ze wszystkim przed staruszką, wstrzymywała ją tylko wrodzona nieśmiałość, spotęgowana przez nieszczęście. Przygody ich były tak dziwne, że słuchającym mogły się wydać nieprawdopodobne... Zresztą będzie dość czasu odpowiedzieć na zapytanie samego pana.

Jeżnakiż panna Hortensya zajęła się żywo ich losem, było to widocznem, czyż nie lepiejby było opowiedzieć jej całą prawdę o sobie, niż narażać się na niepotrzebne posądzenia.

— Później... później będę mówiła — powtarzała sobie Melcia, sen ją morzył okropnie, całą noc pełną strachu i niepokoju oka nie zmrużyła.

Panna Hortensya zdawała się niezadowoloną z milczenia dziewczynki, ale jak tylko spojrzała na niewinną i miłą twarzyczkę Melci, ufność powracała.

— No, tymczasem chodźmy do pana — rzekła pocziwa kobieta, ale Melcia podniosła spódnice, zakasała rękawy i z wielką zręcznością zabrała się już do prania swojej bielizny, sukienki i pończoch.

— Matka twoja musiała być dobrą gospodynią — rzekła panna Hortensya rozczulona postępkiem Melci, nauczyła cię porządnie pracować.

— Zobaczysz pani jak rzeczy poschną, że i prasować umiem dobrze.

— Dobrze, ale tymczasem zostaw to moje dziecko, przysługę praczce, która dokończy twoją robotę. Trzeba nam iść do pana Dumany i do pani.

Za drzwiami spotkali Iwonka, który się bawił z Murzynem, skacząc mu na ramiona.

— A jaka jesteś ładna — zawołał na widok siostry — gdybyś była jeszcze uczesana, myślałbym, że jesteśmy w domu.

— Chodźcie do mego pokoju, tam was oboje uczeszę — rzekła panna Hortensya — a ty Jo idź zapytaj się państwa czy mogę zaraz przyprowadzić dzieci? Chodźmy, tu na prawo.

To mówiąc, skierowała się ku bocznym schodom, dzieci szły za nią.

Gdy się znaleźli w pokoju, panna Hortensya kazała usiąść Melci i delikatnie zabrała się do rozplątywania jej długich, ładnych włosów. W sercu każdej kobiety jest pewne uczucie macierzyńskie, panna Hortensya czesąc tych dwoje nieznanych dzieci, widząc ich tak opuszczonemi, poczuła jak wszelkie niedowierzanie znika z jej serca, a na to miejsce budzi się chęć nowa, by te sieroty znalazły przytułek i opiekę w tym wielkim gościnnym domu.

Jo powrócił z odpowiedzią pana: — Dzieci już zjadły, prawda?

— No to i my pójdziemy teraz za ich przykładem. Niech więc poczekają.

— Czy chcesz pójść ze mną — zapytał Murzyn Iwonka — idę karmić psy mego pana.

— Jeżeli tylko Melcia pozwoli...

— Idź braciszku, tylko wracaj na czas.

— A ty?

— Będę bieliznę cerowała, dopóki nasze rzeczy nie wyschną.

— Pomóż mi lepiej układać serwety i chować je do szafy — rzekła gospodyni do Melci, która stawiała jej się coraz sympatyczniejszą.

Otoczenie prawdziwie pałacowe, w którym Melcia znalazła się po raz pierwszy, wzbudzało w niej podziw wielki i zachwyt. Najprzód kuchnia ogromna, błyszcząca półkami, na których stały rzędami miedziane i nikłowe łyżki, tak ładne, że w każdym jak w lustrze przejrzyć się można było, później pralnia z kranami ciepłej i zimnej wody, wreszcie ta duża garderoba przeznaczona tylko na bieliznę, wpośród stół a na nim całe stosy serwet, obrusów, prześcieradeł, dookoła szafy, w których to wszystko schowane być miało. A wszędzie ciepło takie rozkoszne,

zapach taki miły!... I pomyśleć, że byli ludzie tak szczęśliwi którzy mogli tu mieszkać przez cały rok okrągły, nie znając ni zimna ni głodu!..

Po kilku godzinach tego dobrobytu i odpoczynku, podróż i warunki okropne, w jakich ją odbywali, staną im się jeszcze cięższymi i przykrzejszymi. Wyciągać rękę, czy to po kawałek chleba, czy po kilka groszy, w gruncie rzeczy było to nie co innego jak zwykła żebranina; nie dziś to jutro czeka ich śmierć z głodu lub z zimna, której dzisiaj uniknęli szczęśliwie.

— O czym myślisz maleńka? — zapytała panna Hortensya — nic nie mówisz, tylko wciąż patrzysz przed siebie.

— Myślę proszę pani, że nigdy nie zapomnę dobroci jakiej tutaj doznaliśmy, i że ciężko będzie powrócić do nieszczęsnej doli naszej! Ach! gdybyż chciano mnie tu zatrzymać... pasłabym krowy... cerowała... prała...

— Ale twój braciszek nie nie umie!

— To prawda, byłby ciężarem w domu; Melcia westchnęła tak smutno, jakby jakaś piękna nadzieja opuściła ją w tej chwili. — Nie możemy iść w drogę zbyt późno ze względu na las, w którym drugiej nocy przespać bym nie chciała...

— Gdzie będziecie nocować?

— Może nam pani poradzi, bo ja tych stron nie znam wcale.

W tej chwili na dziedzińcu dało się słyszeć szczekanie psów i okrzyki radosne Iwonka. Melcia wyjrzała oknem, na trawniku dwa ładne charty, jeden mały czarny piesek, Iwonek wraz z niemi przewracali się po ziemi, Jo stał opodal i śmiał się, pokazując dwa rzędy białych, jak kość słoniowa zębów.

Na pierwszym piętrze otworzyły się drzwi balkonu, ukazał się pan Dumany, wołając by mu psy przyprowadzono na górę. Cała tedy gromada: murzyn, chłopczyk i psy, przeskakując po trzy schody na raz, znaleźli się wkrótce u drzwi gabinetu, Jo drzwi otworzył, psy skowycząc rzuciły się ku swemu panu, pociągając za sobą Iwonka. Charty skakały mu na ramiona, mały łapał go za rękę i schwyciwszy za bluzkę przyprowadził przed pana, jak gdyby chciał zaprezentować nowego przyjaciela...

— Zkąd się wziął ten ładny chłopczyk? — zapytał pan Dumany.

— To mały, któregośmy w lesie znaleźli — odpowiedział Murzyn.

— Doprawdy, teraz taki czysty i ładny, żebym go nie poznał. A gdzież twoja siostra? — rzekł, zwracając się do Iwonka.

— Zostawiłem ją z jakąś panią, która nas czesała...

— Idź do niej zawołaj, tylko, pewno nie trafisz?

— O i owszem, byleby tylko mały piesek poszedł ze mną.

— Nie pójdzie za tobą.

— Mnie się zdaje, że pójdzie.

To mówiąc, Iwonek doszedłszy do drzwi, gwizdnął, Lolo, takie było nazwanie pieska, podniósł uszy do góry, zawahał się chwilę i skoczył za Iwonkiem, który z tryumfującą miną zamknął drzwi za sobą.

— To dziwne, że Lolo który zwykle nie idzie za nikim, z wyjątkiem mnie lub ciebie, zaprzyjaźnił się tak prędko z tym małym.

— Psy, proszę pana, sprytniejsze od ludzi, odgadują, przeczuwają... że to dobre stworzenie to maleństwo, żeby pan wiedział jak wszystkie idą do niego, jak go pieszczą, we mnie wzbudza to ufność do tego dziecka.

Podczas gdy Murzyn mówił, pan Dumany zasiadł wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i rzekł:

— Poproś mojej bratowej, by była tak dobrą i przysłała tu do mnie.

Pani Prosperowa Dumany, wdowa po młodszym bracie właściciela pałacu i dóbr Landes, przybyła niebawem na wezwanie brata.

— Chciałeś się widzieć ze mną Euzebiuszu? — zapytała.

— Tak jest, chodzi mianowicie o zasięgnięcie twej rady...

Dalsze słowa przerwało wejście panny Hortensyi z Melcią i Iwonkiem. Melcia była nie do poznania, ubrana czysto, uczesana w gruby warkocz, spadający na plecy, była tak ładną i tak miłe czyniła wrażenie, iż mimowoli przyciągała serca ku sobie. Pokój do którego weszli o wysokiem sklepieniu, wielkich lustrzanych szybach, ścianach pokrytych skórą i głowami różnych nadzwyczajnych zwierząt, szeregami broni, przejął dzieci takim zachwytem, iż z wielkiego zdziwienia słowa wymówić nie mogły, a Iwonek oczy szeroko otwierał, by się lepiej napastryć.

— Przybliż się tu do mnie, dziewczynko — rzekł pan Dumany — i powiedz jak się nazywacie?

— Na imię mi Melcia, a mojemu braciszкови Iwonek.

— A nazwisko rodziców?

— Derrien.

— Czemże się oni zajmują?

— Ojciec był w młodości marynarzem, później rybakiem.

— Dlaczegoście opuścili rodziców?

— Oboje nie żyją.

— Biedne dzieci! — szepnął pan Dumany.

— Ależ kochany bracie, nie przywiązuj wiary do słów tych małych włóczęgów — wtrąciła bratowa. — Znalezione ich wśród drogi, wydaje mi się mocno podejrzanem. Zapytaj ich najprzód gdzie mieszkają?

— Może masz rację, dowiemy się zatem skąd pochodzą.

— Z jakich stron jesteście? — zapytał, zwracając się do dzieci.

— Mieszkaliśmy w Plumanach, na brzegu... orza.

— Ale w jakim departamencie?

— Nie wiem proszę pana...

— A co? nie mówiłam, że oni coś kręcą, nie może bne, aby nie wiedzieli nazwiska departamentu, nie wiedzą sami co wymyślić...

— Mówię zupełną prawdę, proszę pani, wioska w której mieszkaliśmy nazywała się Plumanach... rzadko kiedy chodziliśmy dalej, większą część czasu spędzałam z ojcem na morzu — odrzekła Melcia.

— Jeżeli rodzice wasi istotnie nie żyją, musicie mieć krewnych, dlaczegoż oni nie zaopiekowali się wami? — zapytała pani Prosperowa.

— Bośmy od nich uciekli.

— A, a, otóż i jesteśmy u źródła! Przeczulałam u tych dzieci złe skłonności. Wolą zebrać po drogach, aniżeli pracować u ludzi uczciwych.

— Dziewczynka jest zręczna i pracowita, a o ile mnie się zdaje i skłonności ma najlepsze, proszę pani — wtrąciła panna Hortensya.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

przez E. M.

Pierwsze oznacza własność w jednym krótkim słowie; Zaś na owcach, jak wiemy, są *drugie* i *trzecie*; A *wszystkiem* tak roślina lecznicza się zowie, Z gorzkim smakiem, o białem rumiankowym kwiecie.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Ułan z T. dla siostrzyczek.

Wyszukać 7 wyrazów, których pierwsze litery złożyć powinny nazwę dwóch rzek wpadających do Wisły. Znaczenie wyrazów: 1) Miasto gub. w Król. Pol. nad rzeką Mleczną. 2) Rzeka we Włoszech. 3) Ciało najtrwalsze ze wszystkich minerałów. 4) Najwyższy stopień temperatury. 5) Wodospad w Ameryce. 6) Miasto w W. Ks. Poznańskim. 7) Część świata. Sylaby: Ra—ar—dya—u—nia—i—no—a—dom—no—ment—pał—ga—wro—ra—cław—ka—fry.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Szarady: Po — chwa — ła.

Łamigłówki w kwadracie:

K	o	p	e	r	n	i	k
S	o	k	r	a	t	e	s
N	a	p	o	l	e	o	n
L	i	s	t	o	p	a	d
M	o	n	g	o	l	i	a
M	o	ł	d	a	w	i	a
N	o	r	w	e	g	i	a
S	e	r	b	o	w	i	e

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Gałązka bzu rs. 1. — Konradek i Stojanka Stefanowscy rs. 1 — Stasia K. z braciszkiem rs. 1. — Z i W. W. z Tyflisu rs. 6. — Zosia z rodzeństwem rs. 4, — Brońcia B. z Brześcia litew. rs. 3. — Maniusia K. z A rs. 2 kop. 50. — Tadeusz Str. rs. 1. — Ryszard i Julcia Ł. kop. 30.